

Nr. 16. Poznań, dnia 20 Kwietnia 1878. Rok I.

Lech-Czech-Rus.

Powieść historyczna spółczesna.

Napisał

Z. Miłkowski.

(Ciąg dalszy.)

Lech na dworcu kolei żelaznéj, czyli na woksalu, jak dworce w Rosyi nazywają, spotkał urzędnika, który oczekiwał na niego.

— Dzień dobry, dzień dobry panu memu... Jakże się spało?...

— Nie spało mi się wcale...

— Czemu to?... wzruszenie zapewne?...

— Wyspałem się przez pół roku w więzieniu...

Wyspało się panu w więzieniu. A to doskonale!... Więzienie przeto jest lekarstwem na bezsenność...

— Jak dla kogo.... dla mnie było niem.

— To rzecz osobliwa.... Świadczy to jednak, że więzienia nasze nie są takiemi, za jakie je okrzyczano...

Potrzeba zaopatrzenia się w bilety przerwała rozmowę, która się wznowiła w wagonie, a wznowiła się ze swobodą tém większą, że na znak urzędnika konduktor zamknął na klucz kompartyment, zajęty przez bohatera naszego.

— Odprowadzam pana do Wierzbołowa i tam będę miał zaszczyt pożegnać go... — zaczął urzędnik.

— Wyszłoby na jedno, gdybyś pan zaszczytu tego dostąpić zechciał bądź tu, w Petersburgu, bądź też na pierwszéj stacyi.., — odparł Lech.

— Eh panie... służba wolność traci... – odrzekł urzędnik z westchnieniem.

— Tracisz pan wolność z własnéj, dobréj, a nie przymuszanéj woli...

— Jak to?... — zapytał tenże z akcentem zdziwienia.

— Czy zmuszał cię kto do wstępowania w szeregi policyi?

— O panie... panie.., O ile mnie wytłumaczyć, o tyle pana zrozumieć trudno, co mnie zmusiło... Jest jednakże coś zmuszającego, kiedy do szeregów policyjnych, w Szwajcaryi nawet, wstępują ludzie...

— Wstępują, w innym wszakże niż w Rosyi charakterze... w charakterze stróżów, czuwających nad bezpieczeństwem społeczeństwa...

— My w Rosyi mamy zadanie ważniejsze: czuwamy nad bezpieczeństwem społeczeństwa i państwa...

Lech się uśmiechnął.

— Uśmiechasz się pan na tę myśl, że charakter państwowy czyni policyę instytucyą szpiegowską... Nie sama Rosya znajduje się w konieczności posługiwania się instytucyą tego rodzaju...

— Wszystkie państwa, w których władza trzyma się przemocą... — wtrącił Lech.

— No tak... odparł moskal. Nie nasza to jednak



Jan Chęciński,
artysta dramatyczny.

wina... Przyjmujemy następstwa, przekazane nam przez siłę rzeczy i musimy się stósować do takowych... Och! musimy... — westchnął. Życie też nasze nie upływa na różach...

Lech, czy wprost dla rozrywki, czyli też dla tego, że w nim ciekawość wzbudziły wynurzania się szpiega, podtrzymywał rozmowę, przerywaną zatrzymywaniem się pociągu na stacyach. Wiedział on, że zwierzania się urzędnika policyi tajnéj nie płyną ze szczerości serca, nie mniéj przeto zajmowały go one. Rozpytywany przezeń Moskal rozprawiać począł o trudnościach służby.

— O, gdybyś pan wiedział, powiadał—jakie i w jakiéj ilości kłopoty na głowie mamy!.. Litowanoby się nad nami, gdyby o tém wiedziano...

— Urządzenie przecież mechanizmu policyjnego nic do życzenia nie pozostawia... — zauważył Lech.

— Tak... zapewne... — odparł urzędnik. Do urządzenia tego atoli wchodzą ludzie.... ludzie, istoty ułomne, posługujące się podlegającemi obłędom narzędziami, jakiemi są zmysły ludzkie... Dodaj pan do tego niedbalstwo i złą wolę, a będziesz miał wyobrażenie niejakie o trudnościach z jakiemi się łamać musimy...

— Nie ufacie przeto ajentom własnym...

— Czy sposób im ufać!... Bióra nasze zarzucone są raportami i doniesieniami, z których czwarta zaledwie część na uwagę zasługuje...

Przy wyrazie ostatnim zaśmiał się. Lech spojrzał mu w oczy z akcentem zapytania.

— Śmieję się — rzekł urzędnik — z powodu pana...

— Z powodu mego?... — zapytał ten ostatni. Zkądże to?...

— Jeżeli mi pan odpowiedzieć zechcesz na zapytanie szczerze, to ja panu powód objaśnię...

— Naprzykład?...

— Spędziłeś pan noc na rozmowie z matką... Nie chcę wiedzieć, o czém rozmawialiście państwo; pragnąłbym jeno dowiedzieć się, o czém nie rozmawialiście.... Odpowiedz mi pan przez proste tak, albo nie.

Biorąc snadź milczenie Lecha za znak przyzwolenia, zapytał!

— Mówiliście czy nie mówiliście o najjaśniejszym panu?...

— O rządach jego?...

— Nie... o osobie... o najjaśniejszego pana osobie...

— Z wyjątkiem tego, że matka opowiedziała mi, jako księżna Gabarin, w interesie moim, trafiła do cesarza za pośrednictwem następczyni tronu, ani słowa więcéj...

— Otóż, poznasz pan teraz, z jakiemi to doniesieniami miewamy do czynienia... Dziś rano otrzymałem raport, jakobyście się naradzili nad sposobami ukrócenia najjaśniejszemu panu życia... a to w celu sprowadzenia jak najrychlejszéj zmiany panowania, w nadziei, że następca tronu udzieli ulg...

— Cha cha cha..., — zaśmiał się Lech.

— Rzecz prosta, nie uwierzyłem temu, o wszystko bowiem was Polaków podejrzywać można, tylko nie o zamiary królobójcze... Trzeba wam bardzo, bardzo sadła za skórę nalać, ażeby z pośród was Berezowskiego wysadzić...

Wykrzyczałem też za to agenta...

— Który — podchwycił Lech — podedrzwiami podsłuchiwał...

— Zkąd pan wiesz o tém?...

— Od pana... Wytłumaczyłeś mi powód łoskotu za drzwiami, który matkę moję przeraził...

— A co!... widzi pan?... Na posterunku kanalia zasnął i, dla popisania się gorliwością, wymyślił naradę o carobójstwo... Oto jakie to my donosy miewamy... Donosów podobnych mnóstwo nieprzeliczone przychodzi codziennie... Co to z tém za praca!... co za praca!... o, panie!... co to trzeba mieć przenikliwości i jaki węch, ażeby odróżnić umieć doniesienia prawdziwe od fałszywych, przydatne od nieprzydatnych!...

— Nie przychodzi też Panu na myśl, że cała ta olbrzymia praca nie przyda się na nic w przyszłości?...

— W przyszłości!... ktoby tam o przyszłości myślał!. Co ona nas obchodzi!... Pięknie by wyszedł policyant, troszczący się o przyszłość... Służymy i koniec... władza nas potrzebuje, płaci nam...

— Nie z własnéj kieszeni... — wtrącił Lech.

— To nas nie obchodzi zgoła...

— Z tego wypada, iżbyście się chętnie sprzedali innéj władzy, gdyby wam lepiéj zapłaciła...

— Hm... — uśmiechnął się urzędnik. Jeżeli mam szczerze powiedzieć: nie wiem... nie zastanawiałem się nad postawioną przez Pana kwestyą...

Być może, chciał Moskal wyciągnąć bohatera naszego na propozycyą, z którejby podwójną osięgnąć mógł korzyść: i łapowe dostać, i o interesującej dowiedzieć się tajemnicy. Lech atoli nie dał się w nastawiony złapać samotrzask: nie podniósł podsuniętéj insynuacyi — odwrócił się od towarzysza, otworzył okno od wagonu i wodził okiem po znikających widokach, jaki szybko mknący pociąg przed wzrokiem jego kolejno odsłaniał. W wagonie do nich dwóch nikt się nie przysiadł, pomimo że po główniejszych dworcach podróżnych czekało dużo. Lech więzionym był jako więzień stanu, jako miazmat zaraźliwy. Gdy wysiadać przychodziło, urzędnik towarzyszył mu nieodstępnie, zapobiegając starannie zetknięciu się jego z przejezdnymi i bawiąc go ustawicznie rozmową, która często cechę indagacyi przybierała. Łatwo wyobrazić sobie, jak to bawiło bohatera naszego. Znosił atoli cierpliwie ten istny dopust Boży i odetchnął z głębi piersi, gdy nareszcie w Wierzbołowie, przesiadając się do wagonu pruskiego, usłyszał z ust urzędnika:

— Szczęśliwéj drogi panu memu życzę...

Poczuł się od razu weselszym i lżejszym; świat wydał się mu piękniejszym; ludzie przedstawiali się oczom jego pod postacią jakąś powabniejszą. Wziął bilet do Królewca. W Królewcu zatrzymał się na dni parę; wykąpał się, odświeżył, wypoczął, zwiedził osobliwości miasta, do matki napisał list i w dalszą puścił się podróż. W Gdańsku zatrzymał się tydzień, w Berlinie również tydzień. Berlin zajmował go jako stolica państwa, które pokonało Francyą; w celu zepchnięcia jéj z zajmowanego przez nią przodowego w ludzkości stanowiska i wzięcia na siebie jéj roli. Chciał się dowiedzieć, czem i o ile pretensye te usprawiedliwić się dają, poszukiwał świadectw wielkości i znajdował takowe we wielkiej arogancyi, ale

w niczém inném. Gdzie się jeno obrócił, wszędzie, pod wszelkiemi możliwemi postaciami, rzucali mu się w oczy: cesarz Wilhelm i książę Bismark, książę Bismark i cesarz Wilhelm, malowani, rysowani, odlewani, rzeźbieni, lepieni, kuci, odciskani, wypiekani, naskrobywani, wyrzynani, naszywani, smarowani, wygotowywani, wyplatani, obwarzani, opisywani, ogrywani, śpiewani, omawiani, okadzani.

— To więc ma być punkt wychodni, jaki sobie wybrał geniusz pruski?... rzekł bohater nasz sam do siebie. Nie ma, zaiste, winszować mu czego...

Niemiłe na nim wrażenie sprawił kult bałwochwalczy względem dwóch mężów, znamionujący obniżenie u ogółu poziomu poczucia i estetycznego i etycznego. Wielkość ludzi mierzy się nietylko czynami dokonanemi, ale przedewszystkiem rodzajem takowych. Czyny, wielkość istotną stanowiące, powinny dodatnią, i to nie narodowi jednemu, ale ludzkości całéj nieść korzyść. Poznaje się je po impulsyi, jaką nadają, a która wywołuje ruchy przyspieszone w dążeniu ludzkościowym ku doskonaleniu się. Jakież i gdzie tego rodzaju ruchy wywołały tryumfy pruskiéj polityki i pruskiego oręża? Napróżno poszukiwalibyśmy takowych. Z tryumfów rzeczonych nietylko nie wyłoniło się dodatniego nic, ale, przeciwnie, tu i owdzie zaznaczyły się kierunki wsteczne ku ideom średniowiecznym, wyrażające się za pomocą apetytów zaborczych i prześladowań zasadniczych, narodowościowych, religijnych. Okazał się ruch przyspieszony w działolejniach, w spekulacyi pieniężnéj, w bankructwach, w przyroście nędzy. Na polu umysłowém Niemcy pozostały w tyle — wyprzedzają je Francya, Anglia, Włochy; na polu moralném postawioną została zasada siły nad prawem, rozdzielająca społeczność na dwa obozy, napastników i napadanych, a usprawiedliwiająca przemoc i złą wolę.

Takie myśli natchnął bohaterowi naszemu widok kultu patryotycznego w stolicy Prus. Widok ten utwierdził go jeno w przekonaniu, które urobił sobie w Rosyi, że ludzkość znajduje się w stanie zagrożenia, powołującego ją do obrony na wszystkich punktach.

— Bronić się trzeba... nie ma innéj rady... Potrzeba się bronić i nie spuszczać na żaden zbieg okoliczności pomyślnych, ale tworzyć takowe, wywoływać, wyzywać... kompromitować, demaskować ujemność rozpanoszoną... zwalczać ją na wszystkich polach... nie dopuszczać przedawnienia na jéj korzyść... Nieprzyjaciel silnym jest i w środkach nie przebierającym, silną też i rezolutną powinna być obrona....

Wielką miał ochotę udać się z Berlina do Poznania, do Krakowa, do Lwowa — do tych miast, z których każde po swojemu jest ogniskiem umysłowości polskiéj — musiał atoli zadośćuczynienie téj ochocie do późniejszego odłożyć czasu, czując się dozorowanym przez oko carskie. Znał zresztą te grody — odwiedzał je nieraz — liczył w murach ich niejednego przyjaciela. Z Berlina przeto pojechał do Wrocławia, z Wrocławia do Drezna i do Monachium. Odbywał podróż rzemiennym dyszlem, zatrzymując się po drodze. W Monachium zwiedzał pracownie malarzy polskich, u których zamówił obrazów parę, zabawił tam miesiąc i ruszył daléj, do ojczyzny Tella, gdzie pozostać zamierzał na dłużéj, czyniąc z niéj *locum stabile* wygnania swego.

Zaledwie dodawać potrzeba, że z matką utrzymywał korespondencyą, która szła za nim. Przed wyjazdem z Drezna dostał od niéj list, a w nim skazówkę, rozstrzygającą kwestyą, co do któréj wachał się. Nie wiedział, które z miast szwajcarskich wybrać sobie na mieszkanie. Miał na myśli Zürich, Bern, Lauzanne, Genewę, Bazyleę, to znów jedno z pomniejszych, Lucerne, Lugano, Vevey, Montreux. Za ostatniemi przemawiały piękność położenia i klimat, za tamtemi naukowe i przemysłowe zakłady, czyniące je ogniskami działalności narodu, nie znającego więzów innych, jeno te jakie sam na siebie wkłada. Nęciło go i tu, nęciło i tam. W końcu, ze względu zapewne na to, że nie jest jednym z owych sybarytów nowoczesnych, co podróżują jeno dla rozkoszy, zdecydował się na miasto większe. Na które atoli z pięciu powyżéj wymienionych? Wachał się i byłby zapewne wybór zdał na traf, gdyby nie list matki, zawierający w sobie prozbę zamieszkania nie gdzieindziéj, jak w Genewie. Prozbę tę pani Białoorłowicz motywowała obowiązkiem wdzięczności.

— „Wybiera się tam — pisała — księżna Gabarin, która nam, najzupełniej bezinteresownie, wielkie wyświadczyła dobrodziejstwo. Trzeba więc, żebyś u niéj był i *bywał* — wyraz ostatni podkreśliła. Może potrafisz oddać jéj usługę jaką: nie zaniedbaj tego, mój Lechu. Jestto osoba bardzo ukształcona.”

— Kiedy się znalazła racya jakaś zamieszkania w Genewie, to czemużbym w Genewie mieszkać nie miał!... powiedział sobie Lech po odczytaniu listu matczynego. Nie przeszkodzi to bynajmniéj robieniu wycieczek w głąb kraju... Zchodzę Szwajcaryą piechotą, studyjąc ją pod każdym względem, jak na to zasługuje kraj, będący w Europie tém samem, czem jest oaza w pustyni piasczystéj...

Ruszył więc z Monachium do Genewy, ale się nie spieszył. Pozostał czas jakiś w Zürichu, w którym, ujrzany z daleka budynek jeden, zaimponował mu do tego stopnia, że pomyślał sobie:

— Wygląda jak pałac królewski...

Udzielił postrzeżenia tego jednemu z towarzyszy podróży, Szwajcarowi, i ten odparł mu z dumą:

— U nas nie ma pałaców tego rodzaju...

— Cóż to jest?...

— Uniwersytet i szkoła politechniczna.... Stawiamy pałace dla nauki tylko...

O prawdziwości słów tych przekonał się z łatwością. Zürich, miasto nie wielkie, zwiedzić się daje prędko, i w rzeczy saméj nie posiada pałaców innych, jeno szkólne. Na uniwersytet wybrano położenie dominujące. Wzgórze, wznoszące się za miastem, służy mu za piedestał, z którego przecudny na wsze strony odkrywa się widok: na prawo Limaat, wijący się wśród zielonych łąk; na lewo jezioro, mające pozór rzeki szerokiéj; na wprost góry strome, u stóp miasto, w perspektywie wieże, baszty, szalety, grupy domów, układy garbów górskich, z których każdy z osobna stanowi widok prześliczny, nadający się do przeniesienia go na płótno.

— Jakże tu pięknie!... powtarzał sobie bohater nasz. Nie sposób bardziéj odpowiednio postawić świątyni na-



Cyganie kotlarze.

uki... Ale — zapytał sam siebie — czy też widoki te nie sprawiają uczącym się i uczącym dystrakcyi?...

Jakby dla sprawdzenia poszedł na wykład jednego z przedmiotów, który mu obcym nie był. Wykład jasny, treściwy, poważny, spokojny, deklamacyą nie przyozdabiany, a mimo to zajmujący, w zachwyt go wprawił, w zachwyt, który z nim podzielali słuchacze, co się pokazywało po uwadze natężonéj, z jaką przyjmowali słowa profesora. To go tak zachęciło, że poszedł na drugi jeszcze wykład. Nazajutrz cały dzień na ławach studenckich przesiedział. W dniu następnym zwiedzał muzea, laboratorya, i biblioteki. Dni parę spędził na asystowaniu na lekcyach w szkołach niższych, innych dni parę na badaniu systemów i metod, w czem uprzedzające znajdował ułatwienia ze strony władz szkólnych i nauczycieli, pokazujących mu wszystko i odpowiadających na wszystko, a to z gotowością tém większą, gdy się dowiedzieli, że jest Polakiem.

— Żywimy dla Polaków współczucie wielkie — oświadczył mu z profesorów jeden — i cenimy spółziomków pańskich wysoko mając sposobność poznać ich zbliska...

— Pan profesor był w Polsce?... — zapytał Lech.

— Nie... ale posiadamy u siebie Polaków, a nawet i część Polski...

Wyrazy ostatnie była to alluzya do muzeum Polskiego, znajdującego się nad brzegami tegoż jeziora, nad którém leży Zürich, a założonego kosztem i staraniem pana Władysława Plater, jednego z rozbitków r. 1831.

— Byłeś pan tam?... — zapytał profesor.

— Nie jeszcze... — odpowiedział Lech — nie omieszkam jednak udać się do Rapperschwyl, jak tylko w Zürychu ciekawość zaspokoję...

Na zupełne jednak ciekawości zaspokojenie czekaćby musiał długo — tyle w tém miasteczku, nowych i coraz to bardziej zajmujących odkrywał rzeczy!

C. d. n.

Jan Chęciński.

Niedawno podał Lech piękny przekład wiersza czeskiego: Do Polskiego Narodu, dokonany przez Chęcińskego. Dziś umieszczamy rycinę tego zasłużonego autora i artysty, cenionego także w Poznaniu z powodu sztuk dramatycznych, a mianowicie *Szlachectwa duszy*.

Urodził się Chęciński 1826 r. w Warszawie, gdzie po ukończeniu nauk gimnazyalnych wstąpił do szkoły dramatycznéj. Po raz pierwszy wystąpił na scenie w komedyi Bogusławskiego: *Lwy i lwice*, jako pułkownik Sędzimir. Występował później z wielkiem powodzeniem, szczególnie grywał dobrze role ojców i starców, choć i w komicznych rolach miał powodzenie. Położył Chęciński nie małe zasługi dla teatru jako reżyser, wywierając wpływ dobroczynny na początkujących artystów.

Większe atoli zasługi zjednał sobie jako utalentowany pisarz. Przetłumaczył i ułożył około 30 sztuk dramatycznych, z tych najlepszą: *Szlachectwo duszy*, która w Warszawie w ciągu roku doczekała się dwudziestu i kilku przedstawień. Grywają ją wszystkie polskie teatra, tak i w Poznaniu dawniéj często tę sztukę przedstawiano. Z innych prac uwagi godne: *Cicha woda brzegi rwie*, mała wprawdzie komedyjka, ale bardzo udatna, którą teatra amatorskie z korzyścią przedstawiać mogą. Z tłumaczeń jego zasługują na uwagę: *Prorok*, *Żydówka*, i *Trubadur*. Oprócz tego pisał wiele rozpraw, poezyi do pism czasowych. Należał też do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Zaznaczyć wypada, że był też to uzdolniony pisarz ludowy i dla dzieci. Ładne są jego poemaciki ludowe: *Jałmużna*, oraz *Anioł i Czart*. Dla dzieci przełożył bardzo starannie drobne powiastki X. kanonika Schmida, którego powieści są tłumaczone prawie na wszystkie języki europejskie.

Wszystkie pisma Chęcińskiego zalecają się zacną dążnością i dobrym stylem, przewyższającym starannością znaczną część spółczesnych pisarzy. Ubolewać tylko można, że taki uzdolniony pisarz i zacny człowiek zakończył życie w sile męzkiego wieku, gdyż umarł 1874 r. zostawiając żonę i kilkoro dzieci bez środków utrzymania. Cześć pamięci poczciwego pracownika na polu literackiém i dramatycznêm.

Mikołaj Potocki między zbójcami.

Nieznany szczegół z życia tego magnata.

Mikołaj Potocki był to magnat polski, rozpasany na wszelkie bezprawia. Poetycznie opisał jego czyny Rzewuski w „Opowiadaniach Soplicy.” W książce pięknie się czyta o tych różnych możnowładcy wybrykach, ale ubolewać tylko można, że ówcześni magnaci dopuszczali się takich bezprawi. W każdym razie jest to ciekawa i charakterystyczna postać, ztąd nie od rzeczy będzie przytoczyć ciekawy wypadek z jego życia, podług rękopisu Synakiewicza, który znał osobiście starostę z Kaniowa. Otóż rzeczony Synakiewicz tak opowiada:

Mikołaj Potocki, jak i inni magnaci polscy, utrzymywał własnym kosztem dragonów i kozaków, z którymi ustawicznie jeździł po swych rozległych dobrach, wybierając dochody, podatki i czynsze, które milionami do swéj rezydencyi przywoził. Wielkie te skarby zwróciły nań uwagę zbójców, atoli obawiali się nań uderzyć z powodu zbrojnéj siły, zawsze mu towarzyszącéj.

W pewnym boru trzy mile szerokim, były dwie karczmy, jedna od drugiej o dwie mile oddalona. Karczmy dzierżawili Żydzi, którzy byli w zmowie z dwudziestu czterema zbójcami. Otóż ci Żydzi i zbójcy ułożyli plan bardzo dowcipny, aby starostę złupić.

Jedzie Potocki owym borem, a naprzód jechał oddział dragonów, aby dla starosty wszystko przygotować. Przybywa dowodzący oficer przed karczmę i pyta się: „Żydzie! masz owies, siano, mięso?” — Nie mam, odpowie arędarz. Oficer pojechał zaraz do drugiego gościńca, sądząc, że pan jego może milę sam bezpiecznie jechać. Przyjeżdża niedługo starosta do owéj karczmy i pyta się: „Czy tu byli dragoni?” — „Byli,” Żyd odrzecze, „ale oficerowi się nie podobało i pomaszerował do drugiéj karczmy.” — A masz siano, owies, mięso, drób?” — „Mam,” była odpowiedź. Zatem starosta nie przeczuwając żadnéj zdrady, kazał powozom powjeżdżać. Kucharz zajął się zaraz przygotowaniem wieczerzy, stangreci i forysie krzątali się przy koniach, a Żyd arendarz donosił służbie skwapliwie gorzałki, aż się wszyscy popili. Jeden tylko foryś, cierpiący na febrę, został trzeźwy na szczęście swego pana.

Za nadejściem nocy ludzie w stajni zasnęli, tylko w izbie trzech ze służby zostało przy jakim takim rozumie. Żyd, zamykając okiennice, dał hasło rozbójnikom, a ci w liczbie 24 wpadli najprzód do kuchni i pomordowali zaraz służących, a inni wpadli do stajni i zabili śpiących. Forysia u góry leżącego na sianie nie spostrzegli, ale on ich widział. Po odbyciu téj rzezi wpadli uzbrojeni w pałki i noże do karczmy. Tymczasem foryś szybko dosiadł ko-

nia i popędził na złamanie karku do dragonów w drugim gościncu. Oficer dowiedziawszy się co zaszło, wyruszył zaraz na pomoc.

Zbójcy wpadają do izby karczemnéj i otaczają starostę. Ten nie uląkł się na ich widok, bo mimo wszelkie gwałty i morderstwa, któremi się splamił, trzeba było przyznać, że to był pan mężnego animuszu. Zbójcy pytają się: „Czyś to ty starosta Kaniowski?” „Jestem,” odrzecze. „A masz pieniądze?” —„Mam, oto w téj szkatule, na ławie!” Zbójcy zaraz szkatułę porwali, postawili na stół i wysypali złote dukaty. Żydek wesoły zapalił świec kilkanaście, aby jasno było i radził, aby kwartą dzielić, bo i on do łupu miał należeć. Starostę zaraz do koszuli rozebrali, a drzwi dla bezpieczeństwa zamknęli. Zaczną mierzyć kwartą złoto, atoli starosta rzecze: „Moi panowie! kwartą źle mierzyć, gdyż jedni dostaną więcéj, a drudzy mniéj, najlepiéj ja was podzielę, to nikt nie będzie skrzywdzony.” Mówił tak umyślnie, aby uzyskać jak najwięcéj czasu, w nadziei, że dragoni przybędą mu na pomoc. Liczył tedy każdemu po 500 dukatów po trzy razy, aż mu ręka zwisła i pot kipiał mu z czoła. Dłużyło się zbójcom, przecież byli cierpliwi. Gdy już złoto zniknęło w ich trzosach, daléj w radę, jaką śmiercią zgładzić starostę za tyle gwałtów i zbrodni. Jedni mówią: Poćwiertujemy go, drudzy chcą, aby mu członki odrzynać. Zgodzili się na to ostatnie. On się prosi, aby mu pozwolili pomodlić się do Boga. Pozwolili, a tymczasem kazali postawić kilka garncy miodu, który pili za jego zdrowie. Starosta ukląkł i modlił się szczerze, jak nigdy w życiu, a ci wołają na niego, aby kończył modlitwy, gdyż zaczną go męczyć. Wtém służąca, widząc spinkę kosztowną u koszuli, prosi, aby jéj pozwolili tę spinkę odjąć. Zbójcy zezwolili, ale jakoś długo nie mogła odpiąć, gdyż ta spinka dyamentowa, w złoto oprawna, była na sprężynie. Zbójcy jeszcze raz kazali dać miodu, a służąca męczy się nad odpięciem spinki. Było tego za długo zbójnikom, więc jeden z nich odciął nożem spinkę od koszuli i oddał dziewczynie, a potém wprowadzili starostę na środek karczmy i stanęli naokół z nożami. Już już mają go rznąć nożami, gdy wtem na dworze wszczął się jakiś hałas. Byli to dragoni, którzy karczmę otoczyli. Spojrzy oficer szparą w okienice i widzi, co się dzieje. Zakomenderował tedy ognia. Starosta słysząc komendę, padł na ziemię, wtém kule świsnęły, a zbójcy padli na ziemię zabici lub poranieni. Starosta prędko drzwi otworzył i dragonów wpuścił.

Dopieroż radość wielka, że pana od śmierci ochronili. Najprzód podobijali zbójców, a potem jedli i pili pełni wesołości. Nazajutrz przetrząsnęli karczmę. Znaleźli sklep ogromny, a w nim co nie miara ubiorów męzkich i białogłowskich, litych pasów, drogich naczyń, a pieniędzy pełne beczki. Trzeba było kilkanaście wozów sprowadzić, aby to wszystko zabrać. Zaraz udali się do drugiéj karczmy, gdzie to samo się powtórzyło. Krótki zrobił proces, gdyż Żydów kazał powieszać a karczmy z gruntu spalić.

Starosta okazał się wdzięcznym, gdyż te wszystkie ubiory i sprzęty darował żołnierzom, a prócz tego wyliczył każdemu żołnierzowi tysiąc talarów, a oficerowi 10,000 tal., zaś forysia ożenił z tą dziewczyną i kupił im folwark za 30,000 złotych, a prócz tego dał kilkanaście tysięcy złotych na zagospodarowanie.

Nie jest to żadna zmyślona anegdota, dodaje ówże Synakiewicz, gdyż ten pan był mi dobrze znajomy, kiedym chodził do szkół w Węgrowie, a on siedział w klasztorze Reformatów na pokucie i często błąkając się po mieście, przyszedł do naszéj stancyi, gdzie było nas czternastu studentów przy jednym dyrektorze. On kazał przynieść kilka flasz miodu i obwarzanków, a częstując, opowiadał różne przygody z swego życia.

Cyganie kotlarze.

U nas coraz mniej jest Cyganów, choć dawniej było ich więcéj, czego dowodem różne o nich powieści i przysłowia. Znaczna jeszcze liczba Cyganów przebywa w Węgrzech, Siedmiogrodzie i Rumunii, gdzie się zajmują także kotlarstwem. Takich koczujących kotlarzy przedstawia obrazek na 125 str. Na przodzie dwóch starych Cyganów trudni się robotą, a chłopiec wyrostek im pomaga. Chłopiec na półnagi, gdyż Cyganie uważają ubieranie dzieci za wielki zbytek. Na lewo młody cygan grucha miłośnie Cygance, a za niemi stoją dwa konie. Wóz jest niezły, widać że kotlarka popłaca. Taki wóz jest tem dla Cyganów, czem pałac dla bogatych a chata dla ubogich. Tu dzieci spędzają młodość, tam się tulą starzy i młodzi w niepogodę.

Cyganie kotlarze są najpoczciwsi i posiadają jakie takie mienie. Inni Cyganie trudnią się sprzedażą koni, a najwięcéj oszustwem i złodziejstwem. Cyganki wróżą przyszłość na co zawsze znajdują lubowników. Do stałego zamieszkania trudno Cyganów nakłonić, dla tego trafnie ich ocenił Kmianin:

A za nami zawsze nędza
Od wsi do wsi nas popędza.
Choć chłodno i głodno,
Ale żyjem swobodno.

O podróżowaniu w starożytnosci.

Tysiące lat upłynęły, wielkie państwa powstawały, kwitnęły i upadały; przepyszne miasta były zakładane i burzone; po ucywilizowanych państwach następowały barbaryńskie, upadały znowu albo zmieniały swe miejsca — a podczas tych zmian wszystkich, poznali oświeceni mieszkańcy kuli ziemskiéj, małą tylko jéj cząstkę.

Indyanie nie byli nigdy narodem żeglarskim i nie są nim nawet po dziś dzień. Niektórzy z pomiędzy nich przedsiębrali może krótkie podróże, ale większa część narodu wstrzymywała się od awanturowania się i zadawalniała się widokiem oceanu, ktory ich kraj ograniczał, nie przepływając go. Przeciwnie Arabowie nadbrzeźni, naród różniący się na wskroś od tych co na pustyni żyli, trudnili się od niepamiętnych czasów handlem i żeglugą i byli w posiadaniu okrętów i portów. Im nasamprzód zawdzięczają kraje po nad brzegiem morza śródziemnego korzenie i kosztowne Indyi płody, które przez zatokę perską i morze czerwone były wysyłane a ztamtąd lądem je na targowiska Egiptu i Tyru sprowadzano.

Surowy klimat, kraj suchy, bez wody i spalony, nieuporządkowany stan towarzyski, bandy bezprawnych rabusiów, których ręka na każdego się obracała: wszystkie te różnorodne okoliczności i przyczyny zmusiły gminy albo ich pojedyńczych członków do czasowéj lub ciągłéj wędrówki, częścią dla szukania opieki, częścią dla zaspokojenia codziennych potrzeb życia. Najrychlejsze doniesienia podróżnicze znajdują się w piśmie świętem i to zawsze przytem wspomina o wędrówkach spólnych. Takie pielgrzymujące towarzystwa, nazywane karawanami, są do dziś jeszcze tem, czem były w pierwotnych czasach: najważniejszemi środkami połączenia pomiędzy Azyą środkową a Egiptem.

W tych najrychlejszych pismach wspominają także o wielbłądzie, tem nieoszacowanem zwierzęciu transportowem, które pustyniom przydzielone zostało, a bez którego pochody karawanowe byłyby w większéj części niemożliwe. Używanie wielbłąda jako zwierzęcia transportowego miało wielki wpływ na cywilizacyą wyżéj wspomnianych krajów. Wielbłąd ułatwia w tych pustyniach, w którychby żadne

inne zwierzę wytrzymać nie mogło, komunikacyą przez morze piasku pomiędzy krajami oświeconemi w przeciwnych położeniach. Bez jego przestawania na małem, bez jego usposobienia, które mu pozwala dłuższy czas od picia się wstrzymywać, bez szybkiego biegu jego, nie mogłaby komunikacya ta wcale istnieć.

Dziwny obraz przedstawia życie wielbłądów u koczujących Arabów, którzy nie mając stałego siedliska, w ciągłym ruchu ze swemi zwierzętami i namiotami po pustyni krążą. Wielbłąd pasący się w godzinie wieczornéj, kiedy słońce zapadające na horyzont pustyni całą rozległą, straszliwą puszczę blaskiem swym obleje, sprawia przyciągający, nader malowniczy widok. Jego kształt osobliwszy, jego ciemnożółta farba, jego chód uważny, jego strusia szyja, którą to w całéj długości wyciąga, to z właściwym sobie wdziękiem ściąga i na bok skłania, jego wzrok łagodny, niewinny — wszystko to przenosi nas oglądających w najrychlejsze epoki świata, w czasy królów pasterskich i patryarchów i widzimy starą przeszłość w teraźniejszości.

Wschodnie obyczaje i zwyczaje są dziwnie trwałemi, ztąd podaje nam karawana dzisiejsza główne cechy obrazu starożytnego pochodu wędrowców. Podróżni postępują w pojedyńczym, albo podwójnym rzędzie i tworzą znaczny pochód wzdłuż długiéj drogi, na któréj się liczni pielgrzymi, pobożni wędrowcy i kupcy dla większego bezpieczeństwa i wygody na wspólną podróż łączą. Jeżeli się jeźdzcy przy tem znajdują, co zwykle się zdarza, wtedy niosą wielbłądy skórzane miechy z wodą dla podróżnych i dla koni, bo często nie spotka się przez dni kilka źródła, aby zaspokoić pragnienie. Ile możności zatrzymuje się karawana na miejscu ohfitującem w wodę, gdzie się chłodnawy cień drzew ze śpiewem ptaków łączy do uprzyjemnienia miejsca wypoczynku. Na niektórych zaś miejscach tworzą pobielane kości zdechłych wielbłądów rodzaj skazodrogu i wskazują wyraźnie smutną drogę, która do przebycia pozostaje.

Przewodnik karawany doznawał u starożytnych wielkiego poszanowania. Zanim wyruszyli, wybierali najznakomitsi członkowie przewodnika czyli przywódzcę, męża doświadczonego w podróżach, obeznanego z obranym drogi kierunkiem, któryby umiał z dzikiemi pokoleniami, napotykanemi w drodze zawrzeć stósunki.

Pod prawnie uorganizowanemi rządami powstały już w bardzo dawnych czasach budynki do przyjmowania karawanów, tak nazwane karawanseraje. Xenofon przypisuje ich założenie Cyrusowi, który je w odległości jednego marszu dziennego pobudować kazał i osobnym ludziom staranie nad niemi polecił. Jeszcze i dzisiaj są one liczne w Persyi i krajach ościennych, a chociaż pojedyńczo różne, są one jednak wszystkie według starego modelu zbudowane i składają się z długich, czworobocznych budynków, które na wiele rzędów pokoi są podzielone i po każdéj stronie dwór otwarty zawierają. Podróżni, czy to pobożni pielgrzymi czy kupcy, mogą każdy próżny pokój zająć, ale muszą o dalszą wygodę sami się postarać.

Tym sposobem utworzyli mianowicie Persowie owe drogi obrotowe, które ze stolicy do najodleglejszych części państwa się rozciągały i z ogromnymi kosztami były zakładane. Chociaż one właściwie w celach militarnych, mianowicie dla zabezpieczenia zdobytych prowincyi nadgranicznych urządzone zostały, otwarte są także dla stósunków publicznych i ułatwiły w wysokim stopniu handel i spokojny obrót. Jedna z tych dróg, najważniejsza, którą Herodot opisuje, rozciągała się od Suzy przez północną Mezopotamią aż do Azyi Mniejszéj i kończyła się w Efezus na wybrzeżu zachodniem. Miała ona sto dziesięć domów gościnnych czyli karawanserajów. Zamiast tego traktu używają dzisiaj karawany traktu, leżącego pomiędzy Ispahanem i Smyrną. Podróżowaniu lądowemu, które od czasów patryarchalnych aż do naszego czasu z niewielkiemi odmianami trwało, grozi w najbliższym czasie zupełnie przekształceniem. Egipt, Azya Mniejsza i Indye pobudowały koleje, a wielka sieć kolejowa połączy morze śródziemne i zatokę perską z Eufratem. Z pewnością nastąpi niezadługo czas, gdzie użytek wielbłąda po większéj części niepotrzebnym będzie, gdzie wiatr codziennie gwizdanie machiny parowéj po pustyni rozniesie i gdzie przy oglądaniu ruin Babylonu od odźwiernych kolejowych o „bilet" pytani będziemy.

Nil i Eufrat, które w ścisłym stósunku do wielkich monarchii starożytności stały, były już w dawnych czasach jako drogi handlowe w używaniu. Lecz ponieważ one głównie przez łąki i pustynie płyną, gdzie drzewa na budowlą okrętów braknie, była okoliczność dla narodu, który zupełnie od miejscowych zasobów zależał, ze względu na żeglugę bardzo niekorzystną. Na Nilu używano czołen z papyrusu, by podróżnych i ładunki na małe odległości przewozić. Chociaż te statki z wodą lekko płynęły, jednak żegluga pod wodę, mianowicie powyżéj Elefantiny, mogła tylko za pomocą statków być wykonywaną, które wzdłuż brzegu za sznury ciągniono. Prawdopodobnem jest, że produkta Etyopii i Afryki środkowéj sprowadzano do Egiptu na tratwach, których nie odwożono, tylko je rozrywano.

Choć Egipcyanie starożytni tak doświadczonymi w żegludze rzecznéj byli, obawiali się jednak podróży morskich dla ich niebezpieczeństw i uważali niezmierzoną głębią z przerażeniem jako symbol złego nieprzyjaciela Tyfona, najzaciętszego wroga ich bóżka Ozyrisa. Ale Babylończycy na szczycie swéj potęgi, posiadali tak samo bezpośredni handel morski, jak rzeczny i lądowy. Że jednak owe wspomniane barki w żaden sposób pod wodę płynąć nie mogły, używano z zatoki perskiéj umyślnie do tego przyrządzonych okrętów które, bogate płody Indji nie tylko do rozpustnéj stolicy, lecz także pod wodę do Tapsakus a ztamtąd karawanami na targi zachodniéj Azyi zwoziły.

Narody starożytności osiedlały się zwykle nad brzegami morskiemi, przyciągane powabem okolic nadmorskich i chłodzącym orzeźwiającym wiatrem morskim w równym stopniu, jak ta pomślną okolicznością, że sobie łatwo zasoby do życia z głębin morza wydobyć mogły. Pierwsze pokolenia wyrosły, jak się zdaje, pod gorącem słońcem zwrotnikowem. Historya nie podaje, który naród pierwszy po bałwanach oceanu żeglował, by brzeg obcy dosięgnąć; ale wyraża się dosyć zrozumiale, że chętka rabunku i awantur najściślejszą ponętą do tych przedsięwzięć była, i że najpierwsze podróże morskie w zbrodniczych zamiarach na obce wybrzeża i przeciw nieokrzesańszym narodom przedsiębrane bywały.

Starożytni mieli okręty podróżne, kupieckie i wojenne. Co do ich poruszania zdaje się, że najprzód wiosła, potem żagli i wiosła, a nakoniec samych żagli używano. Okręty żaglowe zaopatrzone były w maszt, który w przystani mógł być zdejmowany a na dalszą podróż znów podnoszonym. Dla nizkiego ich pokładu i niezgrabnej budowy nie nadawały się do szybkich poruszeń; dla tego dalekie podróże rzadko przedsiębrano. Ostani kres podróży osiągnięto dopiero wtedy, kiedy dotknięto mnóstwo stacyi pośrednich, bo żegluga szła powoli a mała objętość z okrętu nie pozwalała zaopatrywać się w zasoby pożywienia na długą podróż. Zwykle starano się by brzég jeszcze za dnia módz wzrokiem dosięgnąć, a że w nocy kotwicy dobrze zarzucić nie było można brali żeglarze pozycye, wschód i zachód niektórych gwiazd za znaki i wskazówki. Powstanie astronomii nautycznéj przypisują Fenicyanom, którzy po Małym Niedźwiedziu dokładnie północ poznawali. I Grecy kierowali się w najpierwszych czasach przy żegludze gwiazdami. Tak przedstawiają nam Odysseusa, jak na przodzie swego okrętu w żagle zaopatrzonego, siedzi i niebo w nocy ogląda.

Że latarni morskich już w najdawniejszych czasach dla bezpieczeństwa żeglarzy używano, okazuje się z podań staro-

żytnych. Homer opisuje nam cudownie blask takiego samotnego światła, które żeglarze w niebezpieczeństwie za swą obronę uważają. Faros, zbudowany za panowania Ptolomeusza Lagi, około trzysta lat przed erą chrześciańską, bywa jako latarnia morska osobliwszego rodzaju, jako jeden z siedmiu cudów świata przedstawiany. Podług opisu Strabona była ona zbudowana z białego kamienia, zawierała wiele piętr i stała na skale, przedgórzu wyspy Faros, od której wieża imię otrzymała. Nosiła napis: „Sostratos z Knidos, syn Dopifanesa, bogom ratującym, pomyślności żeglarzy." Stary jeograf opisuje sąsiedni brzeg jako nizki, zamknięty brodami i skałami nadbrzeżnemi, takim sposobem staje się wzniesienie latarni morskiéj koniecznem, aby z pełnego morza przybywających żeglarzy bezpiecznie do przystani wprowadzić. Poeta Lukan opowiada, że tenże Faros dał cezarowi poznać jego przybliżanie się do Egiptu, w siódméj nocy po odjeździe z brzegów Azyi Mniejszéj. A. Pliniusz opowiada, że podobne latarnie morskie znajdowały się pod Ostyą i Rawenną.

Lassota.

Piosnka o Berku*).

Był to Berko sławny żyd!
Człek sumienny — Polak prawy
Nie kwaterką, ni szacherką,
Lecz się krwią dorobił sławy!
Nikt sobie nie miał za wstyd
Służyć pod nim; — bo choć żyd,
Był on tęgim wojownikiem. —
Przytém panem pułkownikiem; —
Za Kościuszki zaczął służyć
I Moskalom skórę łatał.
Gdy nie stało naczelnika,
Nie dał się pan Berko zdurzyć,
W rękę pika, na konika,
Z Francuzami wnet się zbratał,
Bonapart zrobił go szefem,
Więc Moskala znowu łoił
A którego tylko spłatał,
Ten się pewno nie wygoił. —
Potém pod księciem Józefem.
Gdy przyszło na Austryaka,
Bił w dwójnasób! bo wet za wet,
Za żyda i za Polaka!
Szkody broił im niezmiernie
Bez pardonu bił ich nawet,
A co palnął w pysk lub w głowę,
„Na ci Sz . . . . . za koszerne,
„Na ci Sz . . . . . za świeczkowe." —

ŁAMIGŁÓWKI.

ZGŁOSKÓWKA.

Ułożył J. Chmielewski.

Kiedy żyjesz, to to masz,
Gdy odwrotnie głoski dasz,
Nadto jednę po za niemi —
To popłynie w włoskiéj ziemi.
A gdy dla zachcenia,
Dwa dołączysz brzmienia,
Masz w Azyi kraj ten duży.
Chcesz się bawić jeszcze dłużéj,
To odwrotnie drugą połóż,
Bez ostatniéj pierwszą dołóż,
Będzie miasto wielkie, dawne
W dziejach greckich bardzo sławne.

*) Umieszczamy tę piosnkę, nadesłaną nam łaskawie przez pułkownika A. Malczewskiego, jako dopełnienie życiorysu przez Berka Joselowicza. Pieśń tę śpiewa podobno lud w okolicach Kocka.

KRYPTOGRAF.

ba, de, e, ge, gor, I, kre, ler, ol, pra, praśl, ro, su, szy, teck, wa, wo, za,

Z następujących syllab ułożyć: 1) poetę niemieckiego — 2) uprzyjemnienie życia ludzkiego — 3) apostoła Grenlandyi — 4) rasę ludzką — 5) osadę w dawném województwie Trockiém — 6) rzecz, bez któréj świat istnieć by nie mógł — 7) skandynawskiego władcę Kijowa — 8) historyka niemieckiego.

Głoski początkowe nazwisk tych z góry na dół czytane tworzą słynnego dramaturga angielskiego, końcówki zaś z przeciwnéj strony z dołu w górę czytane nazwisko jego utworu

TELEFON „LECHA".

A. Ś. w Prusach Zachodnich. Dobre i niedrogie fortepiany ma na składzie p. S. Benda w Poznaniu, Podgórna ulica nr. 8. Zaręczyć możemy, że fortepiany te są tańsze, niż gdzie indziéj, a w dobroci zdaniem znawców przewyższają inne składy. Zwracamy szczególną uwagę, że p. Benda posiada wyłączną agienturę tak zwanych organów Cottage z fabryki Esthey w Ameryce. Cena od 200 do 1600 tal. Mniejsze harmonia już od 100 tal. Skład to w tym rodzaju jedyny w W. Ks. Poznańskiém. Zwraca się uwagę mianowicie parafiom, które za tanią cenę mogą nabyć doskonałe organy. P. Benda chętnie każdego czasu pozwala te istotnie widzenia godne instrumenty zobaczyć i wypróbować. Lubownikom muzyki, przybywającym do Poznania z prowincyi, zwracamy uwagę, aby nie zaniedbali odwiedzić składu p. Bendy.

A. Szwab w Brandysie nad Labą. Do przełożenia na czeskie godzą się bardzo powieści Zacharyasiewicza, np. Gwiazda, Boże Dziecię w 3 tomach, Renata itd., potém Wilkońskiéj n. p. Gałązka cierniowa, Wawrzyna, Dziedziczka Czarnolic, i wyborne jéj *Powiastki dla Panienek*, wydane w Warszawie 1840 r. Dzierzkowskiego niektóre powieści byłyby także stósowne (nowe zupełne wydanie wyszło we Lwowie u Richtera). Wilkońskiego Ramoty i Ramotki, jeżeli nie są jeszcze na czeskie tłumaczone, wartoby przyswoić, gdyż są nader zajmujące, pełne wyższego dowcipu i humorystyki. Z pism Skarbka polecamy: Damian Ruszczyc, w któréj zachodzi sławny Sobieski; Starosta, Przygody Dodosińskiego (wyborne) itd. Wiele jest dobrych rzeczy w pismach czasowych, ale trudno naprędce wyszukać. Później zwrócimy uwagę na inne powieści. O sławnych koryfeuszach jak np. Kraszewskim, Korzeniowskim i innych, jako i w Czechach dobrze znanych zamilczamy, o ile, że ich niektóre utwory są już na czeskie przetłumaczone.

Wiadomości literackie.

Polski Sowizdrzał, t. j. zbiór uciesznych i dowcipnych powiastek, historyi, anegdot, dykteryjek, figli, żartów, przytém ciekawych i niezwykłych opowiadań. Dla rozweselenia serc kochanych Wiarusów w tych smutnych a ciężkich czasach, z rękopisów, z książek i z opowiadań ludzi doświadczonych, co to nie z jednego pieca chléb jedli, zebrał Józef Chociszewski. Cena 50 fen. Książka ta z pewnością będzie się każdemu podobała.

Winniśmy tu sprostować mimowolną pomyłkę. Wiersz Polskiemu Narodowi, podany w nr. 9 Lecha ułożył poeta czeski *Szolz*-a nie X. Kanonik Sztulc. Pomyłka ztąd powstała, że wiersz ten ukazał się najprzód z podpisem *V. Sz.*, a że X. Sztulc jest poetą i wielkim przyjacielem Polaków, przeto sądzono powszechnie, że on ten wiersz napisał. Poeta Szolc już nie żyje.

„Lech" wychodzi co sobotę w Poznaniu, Przedpłata ćwierćroczna na pocztach wynosi 2 marki czyli 20 sgr., roczna 8 marek czyli 5 złr. Można i w redakcyi zapisywać. Wszelkie listy i przesyłki dochodzą pod adresem: „*Lech Poznań.*"

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu. — Drukarnia Handke & Chocieszyński w Poznaniu.